№ 43. 23. Października 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Ze sfer młodzieży.

(Przemówienie Karola Ruebenbauera, prezesa Tow. Bratniej Pomocy na wieczorku inauguracyjnym techników.)

Dzień dzisiejszy — oto chwila, z której rok rocznie korzysta Tow. Bratniej Pomocy, aby Was koledzy, w tem ognisku życia koleżeńskiego powitać. Korzystając z tej miłej dla mnie sposobności, witam imieniem Towarzystwa kolegów, którzy dla nabycia dalszych wiadomości, znów w te mury wstąpili, a w szczególności zwracam się do Was koledzy, którzy się świeżo zaciągacie w szeregi akademików.

Wstępując do grona akademickiego, nie zdawaliście sobie może koledzy, sprawy, jak doniosły fakt zaszedł w waszem życiu, jakie prawa i obowiązki ciężą na akademickiej młodzieży polskiej — nie będzie przeto od rzeczy, jeżeli korzystając z dzisiejszej sposobności, pokrótce je Wam przedstawię. Bezsprzecznie najdonioślejszym czynnikiem w życiu młodzieży wyższych zakładów naukowych, jest prawo stowarzyszania się. W stowarzyszeniach takich bowiem, pominąwszy stronę materjalną, zaprawiamy się i poznajemy przyszłe życie obywatelskie, uczymy się odczuwać wszelkie objawy życia społecznego, uczymy się poznawać ludzi i ich przekonania, nabieramy sami pewnych przekonań, nawiązujemy stosunki przyjaźni i koleżeństwa, dopełniamy studja, których nam szkoła fachowa dać nie może, uczymy się kochać ziemię rodzinną i poznajemy a zarazem znajdujemy sposobność wykonania obowiązków, jakich od nas wymaga Ojczyzna. Kto zatem z prawa tego korzystać nie chce, kto nie chce poznawać życia obywatelskiego, a tem samem kraju naszego i tego społeczeństwa, wśród którego żyjemy, poznać jego potrzeby i zżyć się z tą myślą, że pracować dla jego dobra jest naszym najświętszym obowiązkiem, kto to ogniwo wspólnej pracy i ideałów samowolnie zrywa, ten znać też nie chce i swoich wyższych obowiązków, a pragnie zostać samolubem, który żyje tylko dla siebie. Tą szkołą życia obywatelskiego dla słuchaczów politechniki naszej jest: Tow. Bratniej Pomocy, które niesie nietylko pomoc moralną i materjalną członkom swoim, ale jest również reprezentantem młodzieży politechnicznej na zewnątrz, dlatego też wszyscy słuchacze politechniki powinni być jego członkami.

Pierwsze zadanie, jakie ciężу na każdym akademiku-techniku, jest nabycie gruntowne wiedzy fachowej. Sumienne spełnianie tego zadania przyznać należy, jest rzeczą żmudną i dlatego Wam koledzy, którzy świeżo wstępujecie w nasze grono, nadmienić muszę, iż czeka Was praca mniej dogodna, aniżeli na innych wyższych zakładach naukowych, ale za to z jednej strony najprodukcyjniejsza dla kraju, z drugiej zaś strony prowadząca najrychlej do celu i zapewniająca byt niezależny. Jeżeli szkoły politechniczne ze względu na wielką przyszłość nauk technicznych mają doniosłe zadanie wobec ludzkości do spełnienia, o ile większe zadanie spada na jedyną w kraju naszym politechnikę. Kraj nasz pod względem ekonomicznym w porównaniu z zachodem w tyle pozostający, potrzebuje ludzi energji i czynu, ludzi, którzyby przez racjonalne gospodarstwo, umiejętne wykorzystywanie bogactw jego, przez popieranie przemysłu i handlu zapewnili szczęście i dobrobyt jego mieszkańcom.

Ta praca koledzy, należy przedewszystkiem do technika. Technicy powinni stanowić alfę i omegę tego obowiązku względem kraju. Wobec tych tak doniosłych zadań, czekających nas po ukończeniu politechniki, pamiętajmy o tem, że nie na studjach w salach wykładowych, rysunkowych i laboratoryjnych koniec, zakład nasz nie powinien wyprowadzać z murów swoich tylko robotników-techników, obok wiedzy fachowej spełniać mamy bowiem i obowiązki obywatelskie. Drugim zatem nierównie ważniejszym zadaniem wstępującego w szeregi akademickie młodzieńca, jest starać się poznać to życie obywatelskie we wszystkich jego barwach. Do poznania tego życia obywatelskiego nie wystarcza znajomość tylko studjów fachowych, potrzeba jeszcze czegoś więcej, a mianowicie znajomości ludzi i tych czynników, które rządzą społeczeństwem.

Z żalem rzeczywiście przyznać należy, iż młodzież nasza zaskorupia się jedynie w wiedzy fachowej, przygotowując się już zawczasu do karjery, protekcji i tańca około złotego cielca, niepomnąc bynajmniej o swoich wyższych celach.

Temu też przypisać należy, iż nas, techników, od wszystkich ważniejszych funkcji życia państwowego usuwają, choć może najgorętszy brać w nich udział powinniśmy. Dlatego też starajmy się w kółkach naukowych, które istnieją w łonie naszego Towarzystwa, nabyć tego wszystkiego, czego nam szkoła dać nie może. Niechaj kółka naukowe będą tymi ogniskami życia umysłowego, w nich znajdziemy te zdrowe podstawy postępu.

Sama natura nauk technicznych, opartych na naukach przyrodniczych, każąca młodzieńcowi szukać przyczyn i snuć z takowych drogą logiczną następstwa, daje poniekąd gwarancję, że młodzież ta powinna być postępową; jestto nawet rzecz ogólnie przyjęta, gdyż zawsze darzy techników mianem: »pionierów postępu«. Dążąc do postępu, nie zrażajmy się bynajmniej tem zapatrywaniem przeważnej części społeczeństwa naszego, która uznając się za wyrocznię narodu, każe się młodzieży usuwać od postępu, nazywając ludzi postępowych — anarchistami. Nie słuchajmy jednostek, które na wyraz »postęp« spostrzegają w imaginacji istotę o włosach w nieładzie, zaniedbaną, kryjącą przy sobie noże i dynamit.

Postępujmy w imię dobra naszej Ojczyzny śmiało naprzód, nie zrażając się zaporami nam stawianemi, z hasłem: »pracą i oświatą«.

Pracą tj. poprawieniem siebie samych przez pozbycie się pęt naszych głównych wad: niedołęstwa, braku wytrwałości, stanowiących razem tę improductivité slave, nabędziemy hartu ducha, wydobędziemy się z niewoli ekonomicznej, z biedy i nędzy materjalnej, w której dotąd tylko dzięki sobie samym siedzimy.

Oświatą tj. oświeceniem ludu naszego wiejskiego i miejskiego. Bo lud to nasza potęga, w której tkwi siła odrodzenia. Lecz dziś siła ta drzemie — ukryta, nieczynna, bo potęgi swej ni siebie nieświadoma. Skierujmy ku niemu ożywczy strumień wiedzy, nauczmy go znać kraj swój, czuć się w nim Polakiem — a obudzimy siłę wielką z uśpienia. Stworzymy z ludu czynnik dodatni, pełen żywych objawów w narodowem naszem życiu.

Kształćmy zatem siebie i kształćmy ten biedny, wyzyskiwany lud nasz — należmy więc wszyscy do Towarzystwa szkoły ludowej, które tak szczytnie zadania się tego podjęło. Lecz do urzeczywistnienia tego upragnionego celu potrzeba jeszcze czegoś więcej, trzeba oprócz ducha patrjotycznego silnej woli i dłoni — i w tem zaprawiajmy się koledzy — należmy więc do wszelkich objawów życia narodowego, należmy do Tow. gimnastycznego »Sokoł«.

Młodzież, która w ten sposób pojmuje swoje obowiązki, daje poniekąd rękojmię, iż w przyszłości da cały zastęp obywateli, dążących do poprawienia bytu narodu — do wydźwignienia go z toni, do której wstecznicy każdy naród spychają.

Młodzież, która walczy i przelewa krew w każdej chwili za poprawienie bytu i równouprawnienie każdego współobywatela, za zachowanie odrębności narodowej — jest prawdziwie patrjotyczną, bo na przestrzeganiu tych zasad opiera się siła narodu. Niechaj zatem patrjotyzm nasz, miłość naszego kraju rodzinnego, miłość tego wszelkiego, co polskie — wiedzie nas do tej ciężkiej, lecz produkcyjnej pracy. Walczmy już teraz z tem wszystkiem, co przynosi ujmę lub szkodę naszemu narodowi, nieoglądając się na tych, którzy odsądzają młodzież od udziału w życiu publicznem, bo charakter naszego narodu jest zupełnie odmienny, aniżeli innych narodów. Brak zapału, obojętność w żywotnych kwestjach ekonomicznych, zamiłowanie w tem, co obce, za mało hartu i wytrwałości w walce z wrogami naszej ojczyzny — sprawiają iż młodzież spełniać musi w społeczeństwie naszem ważną rolę, ona, że się tak wyrażę, jest tym samym czynnikiem, co krew krążąca w żyłach człowieka, ona powinna być tym środkiem rozbudzającym naród nasz skołatany 100-letnią walką o niepodległość z odrętwienia, być bodźcem do wszelkich szlachetnych porywów, ona winna przypominać naszemu społeczeństwu, że my tak długo spocząć nie możemy, póki nie zdobędziemy wolnej Polski — gdyż myśmy po za Nią Ojczyzny nie mieli, nie mamy i mieć nie będziemy.

A gdy nagromadziwszy drogą pracy pewien zasób wiedzy, zbudujemy siebie i drugich, podniesiemy dobrobyt kraju naszego i zapewnimy każdej jednostce szczęście i niezależność, gdy wyprzemy obce nam żywioły, dążące do wydarcia nam naszych praw narodowościowych czyli innymi słowy gromadzić będziemy środki do walki z wrogami naszej Ojczyzny — przyspieszymy chwilę, w której pękną jej kajdany, a czując całą potęgę silnego narodu, wydrzemy te krwiożercze szpony wrogów, które się wpiły w serce naszej Ojczyzny.

W imię zatem hasła: pracą i oświatą postępując, wywalczymy sobie tę wspaniałą i z utęsknieniem oczekiwaną chwilę, o której przepowiadał nam nasz wielki Adam:

„Pryskają nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące,
Witaj jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce“.

Kongres religijny w Chicago.

Kiedy z początkiem września, rozpoczął się według programu kongres wyznań religijnych, nowe muzeum sztuk pięknych nad jeziorem, ma-

jące się zapełnić zbiorami dopiero po wystawie i służące tymczasem za miejsce posiedzeń kongresom, natłoczone zostało po brzegi. Publiczność, obojętna na wywody uczonych, zaciekawiła się nagle, gdy przyszły na stół rozprawy religijne. Schyłek naszego stulecia przedstawia w tej mierze żywy kontrast z negatywnem a sceptycznem usposobieniem, jakie przemagało w końcu wieku XVIII-go.

Nasamprzód miały miejsce osobne kongresy różnych wyznań, rozpowszechnionych w Ameryce północnej.

Po upływie tygodnia rozpoczął się parlament religij, czyli walny wiec przedstawicieli różnych wyznań. Na estradzie przed publicznością, w wielkiej sali Kolumba, zasiedli przedstawiciele piętnastu religij, a między nimi: buddyści, brahmini z różnych sekt Hindusów, wyznawcy Konfucjusza, Zoroastra, japońskiej sekty Szinto, mahometanie, żydzi.

Kardynał Gibbons w purpurze, odmówił modlitwę i zagaił posiedzenie krótką przemową. Pierwszy dzień zajęty był wstępnemi oracjami i retorycznemi popisami. Następnych dni każdy z uczestników kongresu, wystąpił z przygotowaną starannie mową, gdzie wykładał treść swojej wiary i zachwalał jej zalety. Sporów lub kontrawersji nie było wcale. Miały miejsce tylko incydentalne interpelacje ze strony publiczności dla wyjaśnienia niezrozumiałych punktów, lub krótkie odpowiedzi ze strony organizatorów kongresu, jeśli który z mówców uchybił przyjętemu ogólnie prawidłu tolerancji i względności dla przeciwników.

Duchowieństwo katolickie ustąpiło po paru dniach z platformy, wygłosiwszy parę zasadniczych prelekcji, w których nie odstępowało ani na jotę od niczem niewzruszonej zasady, streszczonej w tekście: »Tu es Petrus et super hanc petram« itd. Pozostał na posterunku tylko biskup Kean, rektor katolickiego uniwersytetu w Waszyngtonie, który brał kilkakrotnie udział w dyskusji z protestantami. Mianowicie, gdy poczęto gubić się w określeniach, na czem polega religja, zwrócił uwagę na to, że religja zasadza się jedynie na stosunku do Stwórcy rozumem obdarzonego stworzenia.

Mówcy mówili wszyscy płynnie po angielsku, a Hindusi i Japończycy lepiej od Niemców i Szwedów. Jeden tylko chiński wykład zasad Konfucjusza, musiano odczytać w tłomaczeniu angielskiem. Arcybiskup grecki w Zante, Dionisios Latos, w pontyfikalnych szatach, zachwycił publiczność piękną przemową angielską. Armeńczycy wystąpili ze śmiałym protestem o prześladowaniu chrześcian przez Turków. Brahmini i buddyści, w typowych indyjskich strojach, wykładali podania religijne tajemniczego wschodu, które zdają się sięgać zarania ludzkich dziejów, gdy do uszu człowieka dochodziły bezpośrednie szepty niebios. Japończyk, z sekty Szinto, użalał się na nadużycia chrześćjańskich misjonarzy w Azji i na ich merkantylne zabiegi pod pokrywką religijnego prozelityzmu.

Do ciekawych typów parlamentu należała przedewszystkiem kobieta-pastor, »The Reverend« Augusta Gapin, doktor teologji, która domagała się przyznania niewiastom godności kapłańskiej. Amerykanin z St. Louis, p. Mohammed Aleksander Webb, przybyły niedawno z Bombayu, gdzie się zbisurmanił i został duchownym muzułmańskim, zapowiedział, że zamierza krzewić zasady Koranu wśród ludności Stanów Zjednoczonych. Dr. Adolf Brodbeck z Hanoweru, usiłował wykazywać potrzebę utworzenia nowej uniwersalnej religji na podstawie naukowej i z uwzględnieniem roztropnego eklektyzmu; a tą nową religją może być tylko idealizm, wyrosły z agnotyzmu, lecz stanowiący synotezę wszelkich poprzednich systemów religijnych. Mętne dowodzenia filozofa niemieckiego nie trafiły jakoś do przekonania nikomu. Bardziej zaciekawiły, chociaż w gruncie pokrewne były z poprzedniemi, wywody pani Besant i profesora z Kalkuty, pana Chakrawarti, którzy udzielili swych poglądów na teozofję indyjską, spopularyzowaną w Anglji przed kilku laty przez panią Bławacką.

W rezultacie od przedstawicieli różnych wyznań chrześciańskich nic nowego nie usłyszano. Izraelici w kilkakrotnych uczonych mowach odznaczali się suchym racjonalizmem. Wyznawcy, czy to idealistycznego panteizmu Europy, czy to bardziej konkretnych i osnutych na badaniu doktryn Azji uderzali raczej swą ekscentrycznością, aniżeli przekonywującą siłą argumentacji. Bohaterami dnia byli bezwątpienia Hindusi, a zwłaszcza buddyści, dzięki temu, że wygłaszali rzeczy publiczności słuchającej mniej znane, a wygłaszali w sposób nader żywy, z entuzjazmem, który świadczył o rzetelnem przekonaniu mowców. Kilku z nich dostąpiło tego, dziwacznego trochę, zaszczytu, iż w niedzielę zaproszono ich do wygłoszenia kazań w różnych świątyniach protestanckich miasta Chicago.

Najżywszy zapał wywołał buddysta p. Dharmapala z Ceylonu. Odziany w powiewne szaty śnieżnej białości, o hebanowej cerze, lecz szlachetnych rysach szczepu indo-europejskiego, ukazał się on przed kongresem, jako podniosłe zjawisko z dalekiej mglistej przeszłości, niby natchniony prorok i wyrzekł mniej więcej te słowa:

»Witam was, jako braci jednego ze mną pochodzenia, jednej rasy aryjskiej. Przychodzę do was z dalekiego tajemniczego wschodu, zkąd wstaje co rano słońce, zkąd przyszły wszelkie religje. Pochodzę z tej ziemi, co się zwała przed trzema tysiącami lat po sanskrycku Arvavata, zkąd światło nauki rozeszło się na Azję Mniejszą, Egipt i Grecję. Wyznaję religję, która dziś liczy 475 miljonów wiernych i którą na 500 lat przed Chrystusem, objawił nam wielki Buddha, znany wam z popularnego dzieła sir Edwin Arnold'a

»Światło Azji« (The Light of Asia). Moja religia uczy mnie, że zarówno zmysłowość jest szkodliwa, jak ascetyzm bezpożyteczny; uczy mnie oczyszczać duszę przez rozpamiętywanie, przez zaparcie się namiętności, przez uczynki dobroczynne, by stać się godnym wstąpienia w ekstazę Nirwany«.

LASKARO.

LEKTORKA.

ZE STUDJÓW INSERATOWYCH.

Młoda wykształcona panienka, od 20—25 lat, mówiąca po angielsku i po francusku, czytająca dobrze na głos i muzykalna o tyle, ażeby módz akompanjować do śpiewu i na cztery ręce, może znaleźć bardzo dobre miejsce przy samotnej damie na wsi. Fotografja pożądana. Oferty składać pod literami T. B. 36. Restauracja hotelu Brühlowskiego.

Tadeusz B. siedział sam jeden przy bocznym stoliku pod oknem, w gwarnej sali jadalnej hotelu Brühla. Pokręcał płowego wąsa i w zamyśleniu spoglądał w ulicę. Od tygodnia siadywał już w ten sposób o tej samej godzinie, na tem samem miejscu; patrzył na te same żelazne sztachety ogrodu Saskiego i z każdym dniem bardziej żółknące za niemi gałęzie drzew, z pod których chłodny, dżdżysty październik wygnał gruchające o zmroku pary, a natomiast uścielał opustoszałe ławki nowym wciąż nalotem zeschłych liści.

Widok to był melancholijny, ale Tadeusz niewiele zazwyczaj czasu przypatrywaniu mu się poświęcał. Obrał on sobie tę godzinę i to miejsce na załatwianie interesów i korespondencji i miał zawsze dosyć do czynienia z niemi.

Dziś interesanci nielicznie się stawili; ale za to cały stos listów przyniósł mu na tacce kelner Antoni, który dla tego nowego gościa, sute dającego napiwki i tak liczne mającego stosunki, wielkie poszanowanie powziął.

Tadeusz przerzucał je obojętnie. Były to po większej części listy jego majątkowych spraw dotyczące, a że jego majątkowe sprawy stały doskonale, więc mógł się do nich z tym olimpijskim spokojem zabierać. Uśmiechnął się, odkładając wystylizowany pracowicie list zadłużonego po uszy kuzynka, który w nagłej potrzebie — ileż to już razy zdarzały się te nagłe potrzeby! — o pożyczkę prosił; raz coś jakby cień zadumy osiadł mu na czole, przy odczytywaniu pełnego wiosennych uniesień wdzięcznego liścika najmłodszej swej siostry, świeżo zaręczonej i donoszącej mu o swem szczęściu.

Bo i on kochał niegdyś... przed laty, choć był jeszcze młody — ale to już minęło, jak mniemał bezpowrotnie.

Wreszcie sięgnął ręką po cały pakiet odpowiedzi na swe ogłoszenie, które przed kilku dniami, w imieniu swej owdowiałej siostry do »Kurjera Warszawskiego« podał.

Przez pierwsze dwa dni spadł na niego silny deszcz tych »ofert«, z których kilka, jako bardziej zasługujących na rozpatrzenie, odłożył nawet. Potem, zajęty ogromnie własnemi sprawami, zapomniał prawie, iż się podjął tego niewdzięcznego zadania wyboru owej panny do towarzystwa, aż dziś piramidalny już stos nagromadzonych kopert zwrócił znów jego uwagę.

Samo otworzenie ich było już pracą. Co się tyczy treści, to bardzo nieliczne wyjątki zdradzały, iż pisane są ręką »wykształconej panny«. Większość w najopłakańszy sposób rozmijała się z elementarnemi zasadami ortografji, a zawiłość stylu przywodziła na pamięć Delficką wyrocznię.

Rzuciwszy okiem na kilka początków, Tadeusz sięgnął po kopertę, drobnem pismem zaadresowaną i zawierającą, jak się zdawało, fotografję.

Na angielskim, woniejącym arkusiku, wyczytał następujące słowa:

„*Panie!*

Wiem naprzód, że pani T. B. 36. jest mężczyzną — to rzecz już dobrze znana, ale to nic nie szkodzi. Mówię ślicznie po francusku i po angielsku, gram bardzo pięknie na fortepianie i podkładam muzykę pod moje własne piosenki; chętnie jednak śpiewam duety z tenorowym, lub barytonowym głosem. Będąc tak wysoce uzdolnioną, czuję się w prawie żądać odpowiednio wysokiego honorarjum. Adres mój: Nowy Świat Nr. 24, drugie piętro, w mieszkaniu pani T... Ponieważ mam nadzieję, iż pan zechcesz skorzystać z tak wyjątkowej sposobności, piszę się naprzód oddaną panu *Aurelją W.*

P. S. Głośne czytanie jest moją specjalnością. Przez trzy lata pracowałam nad dykcją, kształciłam się bowiem na scenę, ale występ mój jakoś do skutku nie przyszedł. Opowiem to panu wszystko, gdy się lepiej poznamy“.

Uczucie niesmaku ogarnęło Tadeusza po przeczytaniu tego cynicznego listu. Wziął fotografję do ręki: kokieteryjnem upozowaniem i wyzywającym strojem, odpowiadała zupełnie pojęciu, jakie sobie o pannie Aurelji W. wyrobił.

W tej samej chwili zbliżył się do stolika Antoni, niosąc na tacce tym razem jeden tylko bilecik, z tym samym cyfrowym adresem, ale bez marki pocztowej, Jakaś młoda osoba, biednie

ubrana i bardzo mizerna, przynosiła go sama od kilku dni — tak objaśnił kelner — ale zabierała napowrót, dowiedziawszy się, że adresanta jeszcze nie ma, lub już wyszedł. Wczoraj i dzisiaj nie była już sama, tylko przysłała chłopczyka, który wreszcie liścik Antoniemu zostawił, wymógłszy na nim, że go natychmiast do własnych rąk »pana« odda. Oto właśnie czeka ten chłopiec tam pod parkanem — i Antoni wskazał na stojącego naprzeciwko okien restauracji licho odzianego' chłopczynę, który z wyrazem natężonego oczekiwania w zbiedzonej twarzyczce, wpatrywał się w błyszczące szyby sali.

Tadeusz skinął ku niemu liścikiem, a ten natychmiast ukłoniwszy mu się zniknął. Młody człowiek spojrzał na kopertę. Zaadresowana była ładnem, czysto kobiecem, lecz bardzo wyraźnem pismem. Wewnątrz nie było fotografji, ale Tadeuszowi po dwukrotnem odczytaniu listu wydało się, że widzi przed sobą postać jego autorki, wątłą i bladą, o słodkich, smutnych oczach i że słyszy jej przyciszony melodyjny głos.

Coś go skłoniło przeczytać go jeszcze po raz trzeci:

„*Szanowna Pani!*

Z wielką nieśmiałością pozwalam sobie odpowiedzieć na umieszczone w dniu 16 i 17 bm. ogłoszenie, i to raczej w formie prośby, aby szanowna pani raczyła przeświadczyć się sama, czy będę w stanie zadosyć uczynić Jej wymaganiom. Władam dobrze językami francuskim i angielskim, ale jestem bardzo mało muzykalną. Co się tyczy głośnego czytania, mam w niem wprawę, gdyż przez całe lato czytywałam memu schorowanemu ojcu, ale głos mój nie jest silny, a wymowa zupełnie nie kształcona. Byłabym z głębi duszy wdzięczną Szanownej pani, gdyby mimo tych braków, przyjęła mię na próbę do swoich usług. Chętnie postaram się je zastąpić jakąś inną domową robotą, jaka się potrzebną okaże i poprzestanę na takiem wynagrodzeniu, jakie sama Szanowna Pani, stosownie do mego uzdolnienia, wyznaczyć mi raczy.

Z głębokiem uszanowaniem

Wanda K.

Adres mój: Chmielna 85, w podwórzu, trzecie piętro, u szwaczki S...“

Tadeusz włożył list do pugilaresu, umieścił go w wewnętrznej kieszeni paltota i opuścił restaurację. Stanąwszy na chodniku, spojrzał na zegarek. Było dopiero po siódmej. Czy ma jeszcze dziś na tę Chmielną jechać? Prawdę powiedziawszy, nie bardzo mu się chciało... Namyślał się przez chwilę, a w trakcie tego czasu wszyscy czekający przed hotelem dorożkarze o mało go nie zjedli oczyma.

Już chciał skinąć na najbliższego, wtem uderzono go po ramieniu. Był to ktoś z jego dobrych znajomych, pędzący, aby go jeszcze przyłapać u Brühla i zaproponować mu wspólne spędzenie wieczoru w teatrze. To przeważyło szalę; przyszła »panna do towarzystwa« jego siostry mogła przecież do jutra poczekać! Te żywe manekiny są od tego.

Nazajutrz w południowej godzinie rozpędzona po kawalersku dorożka pierwszej klasy przywiozła go pod wskazany numer na Chmielną. Wywiedziawszy się z trudem o mieszkanie szwaczki S..., zaczął wdrapywać się po brudnych, niewygodnych schodach bocznej oficyny, zamieszkałej — jak z pierwszego rzutu oka można było poznć — przez uboższą, rzemieślniczą ludność. Nieprzyzwyczajony do podobnych wertepów elegancki młodzieniec, na drugiem piętrze już się zadyszał i przystanął, aby odpocząć, gdy usłyszał za sobą powolne, ciężkie kroki.

Obejrzał się. Po lichem odzieniu, po bladych, wynędzniałych rysach i dużych, myślących oczach, mocno dziś zaczerwienionych i nabrzękłych, poznał chłopca, który mu wczoraj list przyniósł.

Niósł on mały, zielony wianuszek z mchu i liści, jeden z tych, jakie przekupki pod powązkowskim murem po kilka groszy sprzedają. Mijał już Tadeusza, gdy ten zatrzymał go pytaniem, czy panna Wanda K... mieszka tutaj i czy jest w domu?

Chłopiec drgnął; wielkie łzy stanęły mu w oczach, w jednej chwili poznał »pana«, któremu wczoraj list nosił.

— Dziś w nocy umarła — odpowiedział urywanym przez łkanie głosem.

Tadeusz uczuł coś, jakby pchnięcie sztyletu w piersi.

— Umarła! — powtórzył. — Jakto? przecież mi wczoraj list od niej przyniosłeś.

— Przed tygodniem go już pisała — rzekł chłopiec — ale w ostatnich dniach nie miała siły go nosić... Gdy ostatni raz była z nim tam w restauracji, deszcz padał, wiatr był przejmujący i zaziębiła się do reszty. Jak wróciła, tak musiała się położyć do łóżka i już więcej z niego nie wstała. Myśleliśmy, że dobra wiadomość mogłaby ją jeszcze uratować, więc też latałem sam z listem, byle tylko pan go mógł zaraz dostać. Wczoraj cały wieczór czekała na odpowiedź; nie przeczuwała wcale, że umrze wkrótce, owszem, było jej tak lekko i dobrze jak nigdy... Może pan wejdzie — matka to panu wszystko lepiej opowie.

Tadeusz wyjął list z kieszeni, popatrzył na jego drobne, sympatyczne pismo i wolno poszedł za chłopcem, który udał się przodem, aby matkę o wizycie uprzedzić.

Kobiecina miała zapuchnięte oczy i głos od płaczu ochrypły.

W prostocie swego ducha uznała za rzecz naturalną i pewną, że nieznajomy życzy sobie widzieć ciało, i zanim Tadeusz mógł się opamiętać, zaprowadziła go do bocznej izdebki, gdzie leżała umarła dziewczyna.

Tak, to były te same słodkie usta, te same delikatne, cierpieniem lekko ściągnięte rysy, jakie

mu wyobraźnia odtworzyła; tylko zamknięte oczy, od których cień długich rzęs padał na woskowo-blade policzki, nie mogły mu już odpowiedzieć, czy patrzyły tak, jak jemu się zdawało, że patrzeć będą?...

Chłopiec zbliżył się po cichu i wianuszek swój mizerny na splecionych rękach zmarłej położył, poczem wybuchnął płaczem.

Matka patrzyła na niego, kiwając żałośnie głową.

— Oj! płacz, płacz, nieboże, odezwała się. Dużoś ty przez jej śmierć utracił. Mój Boże! któż ci teraz na książce pokazywać będzie i różne piękne rzeczy opowiadać! Bo to proszę łaski pana, to był istny anioł, ta panienka. Oboje sobie w tym pokoiku z moim Jaśkiem przy lampie siadywali i nauka szła aż miło. Mój tam niby o tem wiedzieć nie chciał; bo on to, proszę łaski pana, zwyczajny wyrobnik, więc sobie ułożył, że książki chłopcu w głowie przewrócą, ale ja bardzo się cieszyłam, że Jasiek taką piękną edukację mieć będzie. Trzy miesiące minęło jak się to biedactwo do nas sprowadziło; rodzice jej odumarli przed pół rokiem i nie miało to nikogo na świecie i nic prócz tego odzienia, co na sobie nosiła. Wątłe to już było i mizerne, ale żeby to tak prędko z nią był koniec, o tem się nawet nikomu nie śniło. Guwernantką chciało być i szukało miejsca ciągle, ale nic się jakoś nie trafiało. Więc też martwiło się biedactwo i gryzło; cóż dziwnego, że chudło i zmieniało w oczach! Widzę ja, że to zaczyna być krucho, że kaszle po nocach, a po schodach kiedy idzie, to tak się zadyszy, że tchu złapać nie może, więc bez jej wiedzy zawołałam doktora. Ten ostukał ją opukał, i powiada, że to nic groźnego, że wyleczyć się może, tylko nie przy takiem życiu. Spokoju jej potrzeba — powiada — świeżego powietrza, zdrowego jedzenia, przyjemnej rozrywki... Matko Boska! a zkąd tego wszystkiego wziąć. Wtem czytamy w Kurjerze pańskie ogłoszenie. Com ja jej się naprosiła, naperswadowała, żeby ten list napisała. To nie dla niej — powiada — ona tyle rzeczy nie potrafi; ta pani sobie zdolniejszą znajdzie. Aż ją skrzyczałam, proszę łaski pana. — Wstydź się, panna Wanda, mówię, czy to nie grzech łaskę Boską odrzucać! Przecież to jakby dla panny Wandy zesłane, bo i na wsi i zajęcie takie delikatne. — Więc przełożyłam jej wreszcie i napisała, a co się potem stało, to już panu wiadomo. Skonała cichutko i bez męki żadnej — jakby sobie zasnęła. Doktor powiada, że to było nagłe zapalenie płuc.

Tadeusz stał długą chwilę, wpatrzony w anielskie rysy zmarłej dziewczyny; poczem oddalił się wolnym krokiem, zostawiając przy jej nędznem posłaniu szlochającego chłopca.

Siostrze swojej zamiast panny do towarzystwa, zawiózł cały stos odpowiedzi na ogłoszenie, tak jak je ze stolika u Brühla w gazetę zgarnięte zawinął i do kufra wrzucił. Nigdy jej o treść tych listów, ani następnych, jakie już pod jej adresem nadchodziły, nie zagadnął; ale nie dziwił się wcale, gdy mu po kilku miesiącach napisała, że jeszcze nic »odpowiedniego« nie wynalazła sobie, i że nie sądziła nigdy, żeby było tak trudno »młodą, wykształconą panienkę« znaleźć.

Mrówcze gminy.

Johna Lubbocka tomik niewielki p. t. »Piękność przyrody i cuda świata, na którym żyjemy«, poleca się najgoręcej pamięci popularyzatorów, tłumaczów i wydawców. Do najciekawszych rozdziałów książeczki należą te, które traktują o gminach mrówczych. Badał je znakomity uczony angielski przez lat kilkanaście.

Europa — pisze Lubbock między innemi — zna do 30-tu gatunków mrówek. Większość ich badałem, pomieściwszy poprzednio w ograniczonej przestrzeni. Życie tych owadów trwa stosunkowo długo. Między innemi znałem mrówki robotnice, żyjące po 7 lat, a jedna z królowych mrówczych, panowała w swojem gnieździe przez lat 15. Gmina mrówcza składa się, oprócz młodych, z samców darmozjadów, z robotników bezskrzydłych i jednej lub dwóch królowych-matek, obdarzonych z początku skrzydłami, które porzucają następnie jako bezużyteczne, po złożeniu bowiem jajek nie wychodzą już z gniazda. Robotnicy budują kunsztowne komnaty wewnątrz mrowisk, kopią tunele i wznoszą baszty, pielęgnują wreszcie dziatwę, rozmieszczoną w mrowisku według wieku.

Gminy mrówek często bywają ogromne, liczą bowiem niekiedy po pół miljona przeszło mieszkańców. Można przyjąć za zasadę stałą, iż nikt nigdy nie dostrzegł kłótni pomiędzy członkami jednej gminy, gdy jedna gmina z drugą żyje jak pies z kotem. Próbowałem przeprowadzać mrówki z jednego gniazda do drugiego. Natychmiast jednak atoli mieszkańcy napadali na intruzów gromadnie i wyrzucali na zewnątrz gniazda bez pardonu.

Widocznie mrówki z jednej i tej samej gminy rozpoznają się z łatwością. Często dzieliłem gniazdo na dwie połowy. Choćby podział przymusowy trwał rok, dwa, mrówki poznawały się natychmiast po usunięciu sztucznej przegrody i przyjacielsko witały się po długiem niewidzeniu. Te same mrówki, wprowadzone w przymusowy stosunek z mrówkami innych gniazd, wypowiadały im wojnę zaciętą.

Przypuszczałem, iż mrówki, należące do jednej gminy, rozpoznają się po jakichś znakach lub »hasłach«. Aby się o tem przekonać, starałem się pozbawiać mrówki zmysłów. Z początku używałem chloroformu, ten jednak okazał się dla owadów zabójczym. Wówczas postanowiłem

upajać mrówki, co mi przychodziło z trudnością, żadna bowiem nie chciała się upić aż do utraty zmysłów. Wziąłem wreszcie kiedyś 50 mrówek; 25 z jednego, tyleż z drugiego gniazda, spoiłem je jak bele, przez zanurzanie na kilka sekund w wódce, oznaczyłem pierwsze farbą czerwoną, drugie zaś niebieską, położyłem całe pijane towarzystwo na stole, otoczonym rowkiem z wodą, aby mi się owady nie porozłaziły. Obok umieściłem kilkanaście mrówek trzeźwych, wziętych z pierwszego gniazda. Te ostatnie były z początku zdumione stanem swoich towarzyszek. Po chwili jednak zabrały się do pracy; wysortowały mrówki jaknajstaranniej, pijane mrówki z obcego gniazda, powlokły do rowka z wodą, gdzie potopiły je co rychlej, swoje zaś pozabierały na grzbiety i najtroskliwiej odniosły do gniazda, gdzie pijaczki wyspać się mogły po bachanalji. Widocznie więc poznają się mrówki bez żadnych znaków, czy »haseł«.

Istnienie gmin osobliwego ustroju każe przypuszczać, iż mrówki mają pewne sposoby porozumiewania się wzajemnie. Gdy jedna mrówka znajdzie gdzieś zapasy żywności, cała gmina wkrótce trafi na właściwą do nich drogę. Pewnego dnia chłodnego, gdy prawie wszystkie moje mrówki siedziały w gnieździe, a jedna tylko szukała łupu w odległości 6-ciu stóp od mrowiska, wziąłem martwą muchę, przekłułem ją szpilką i przyszpiliłem do korka. Mrówka znalazła wkrótce muchę i starała się ją odnieść do gniazda. Ale ciężar korka był za wielki. Mrówka tedy, wytarmosiwszy muchę coniemiara, puściła się pędem do gniazda, po upływie zaś pół minuty powróciła w towarzystwie 12-robotnic, które wspólnemi siłami oderwały muchę od korka i powlokły ją z tryumfem do mrowiska. Widocznie więc mrówka pierwsza porozumiała się nader szybko z pozostałemi, a wezwała pomocy skutecznie. Kilkakrotnie zdarzyło mi się stwierdzić własnemi doświadczeniami fakt, iż mrówki w razie potrzeby prowadzą swoich towarzyszy na miejsce wskazane.

Jak to już zauważył Huber, niektóre gatunki mrówek wprowadzają inne w stan niewolnictwa. Jeżeli gmina zmienia gniazdo, o czem najczęściej decydują niewolnicy, wówczas ci ostatni przenoszą swych panów na grzbietach. Niekiedy odkopywałem gniazdo mrówek z gatunku *fornica fusca*. Wszystkie biegały tu i ówdzie, jakby szukając schronienia. Brałem wówczas na koniec kija kilkanaście owadów i przenosiłem je na odległość kilku stóp. Gdy mrówki zauważyły liczebną stratę, puszczały się wówczas na wędrówkę około gniazda. Każda z nich, spotkawszy dezertera, brała go na grzbiet i wlokła do mrowiska. Pracę tę zadawały sobie nieustannie, dopóki wszystkie bez wyjątku mrówki nie znalazły się pod jednym dachem. Pokazuje się więc, że mają one instykt potrzeby utrzymywania swej gminy w całości, z drugiej jednak strony widocznem jest, że sposoby porozumiewania się pomiędzy mrówkami nie są zbyt obfite, skoro w większości wypadków mrówki, miast perswazji, uciekają się bezpośrednio do radykalnego sposobu zabierania towarzyszki na grzbiet własny.

Niektóre mrówki, z klasy pracujących, stały się tak zależnemi od niewolnic, że niekiedy umierają z głodu, leżąc na zapasach żywności, jeżeli niema w pobliżu niewolnicy, któraby im pokarm do pyszczka wkładała. W każdym razie nie są one wymagające. Lubbock zauważył, iż dostatecznem jest wpuszczanie do odosobnionej mrówki raz jeden na tydzień niewolnika, który panią swoją czyści i karmi.

Są mrówki, które mają u siebie zwierzęta domowe. Badania nad życiem wewnętrznem tych owadów są wielce utrudnione, można jednak twierdzić z pewnością, iż mrówki mają tych »zwierząt domowych« kilkanaście odmian. Najważniejsze z nich i najpożyteczniejsze—to mszyce—(*aphis*). Spełniają one u mrówek najzupełniej te same funkcje, co u ludzi krowy. Jedne gatunki mrówek utrzymują mszyce na drzewach, gdzie wysysają soki z liści na użytek mrówczego rodzaju, inne znów mają u siebie w gniazdach krowiarnie, gdzie mszyce pasą się w domu i wydzielają masy nader smakowitego dla mrówek miodowego soku. Nie dosyć na tem. Mrówki nietylko hodują mszyce, ale zbierają ich jajka na jesieni i troskliwie przechowują przez zimę aż do wiosny.

Niektóre owady, oswojone przez mrówki w charakterze zwierząt domowych, wskutek ciągłego przebywania pod ziemią, oślepły całkowicie.

Z ruchu literackiego.

Fryderyk Engels. — Zagraniczna polityka rosyjskiego Caratu. — Kraków, 1893.

Pięćdziesiąt lat temu, nie było w całym świecie cywilizowanym liberalnego, trochę inteligentniejszego człowieka, któryby nie uważał za najświętszy swój obowiązek obrony polskiej sprawy, a przynajmniej najgorętszej sympatji dla nieszczęśliwej Polski — *la malheureuse Pologne.* Wszędzie, gdzie ujarzmione narody dobijały się wolności, imię Polski przodowało ich wysiłkom, polscy wojownicy dawali pomoc i zachętę, a świat odpłacał im czcią i uwielbieniem, spółczuciem dla wszystkiego, co było polskie. Inne teraz czasy nastały. »Przewodnicy« narodu, samozwańczy »kierownicy« jego losów zatknęli sztandar najzupełniejszej, prawdziwie średniowiecznej reakcji, »zmniszyli« wojowniczą niegdyś i demokratyczną polską ideę, i cały Zachód (który, prawdę mówiąc, nigdy nas należycie nie znał), odwrócił się ze wstrętem od takiego „polskiego gospodarstwa", co gorsza, zapomniał o nas i skazał nas na za-

gładę, razem z ostatkami innych średniowiecznych bezpraw. Ci nawet, którym się kłaniamy, klerykalni internacjonaliści, są teraz najzawziętszymi naszymi wrogami — boć oni przecie ubóstwiają tylko siłę, a jakiej pomocy od nas oczekiwać mogą? Klerykali i żydzi połączyli się dla zawziętego prześladowania wszystkiego, co tchnie jeszcze polskością, dla tego właśnie, że Polska służyła zawsze Rzymowi, że uratowała od zagłady naród izraelski, którego trzy czwarte części po dziś dzień zamieszkują polskie ziemie — kto o tem wątpi, niech spojrzy, jak kadzą Moskalom francuscy katolicy i rzymscy Jezuici, jak prześladuje nas wiedeńska i berlińska liberalna żydowszczyzna, jak usiłuje nas wynarodowić katolicki, niemiecki kościół Boć zły i głupi człowiek nigdy wdzięczności nie czuje, nigdy nie zważa nawet na prawdziwe swoje interesa, a rzuca się na chwilową zdobycz, dla niej wszystko na świecie poświęca, nawet siebie samego. Tembardziej, wśród ogólnej dla nas obojętności postępowych stronnictw, wśród objawów nienawiści wszelkiej reakcji, czy wschodniej, czy zachodniej, dla naszej ciemiężonej ojczyzny, powinniśmy cenić tych nielicznych i sprawiedliwych ludzi, którzy ośmielają się jeszcze występować w obronie nieszczęśliwej Polski, choć się dzisiaj stała Polską pp. Tarnowskich, Bobrzyńskich i Kościelskich, jak była za czasów Woltera znienawidzoną i pogardzoną Polską Ponińskich, Branickich i Radziwiłłów »Panie Kochanku«. Takim wyjątkowo sprawiedliwym obrońcą jest autor niniejszego dziełka. Wówczas, gdy „Rzymskie Moniteur'y“ i monarchiczno-klerykalne »Figara« oddają nas Moskwie z obrzydliwym lokajskim uśmiechem, ten nasz obrońca nie jest ani klerykałem, ani konserwatystą, ale — o zgrozo! — najczystszej krwi socjalistą znanym pomocnikiem i spadkobiercą „obrzydliwego“ Marksa. Bo p. Engels ma zasady, ma przekonania, i żadne oportunistyczne, ani hierarchiczne względy nie zagłuszają w nim poczucia sprawiedliwości. Ostrzegając świat cały o strasznem niebezpieczeństwie, grożącem mu od moskiewskiego caratu, p. Engels widzi jedyny ratunek w rosyjskiej rewolucji, której logicznym skutkiem będzie nasze oswobodzenie. — »Polska, woła autor, dwa razy postęp cywilizacyjny Europy uratowała“ — w 1792 i 1831 roku — »i tego my na zachodzie nigdy Polsce nie zapomnimy«. Tem cenniejszem dla nas jest takie świadectwo, że ci, cośmy ich wówczas własną zgubą uratowali, Francuzi, ani półsłówkiem do tego się nie przyznają, by nie zmniejszyć bohaterstwa swojej »wielkiej rewolucji“, a nasi właśni Kalinkowie i Tarnowscy przeklinają nas właśnie za takie »niekonserwatywne« czyny — za to, żeśmy nie chcieli służyć caratowi, razem ze Stanisławem Augustem, z prymasami i margrabiami. Więc jakiekolwiekby było nasze zapatrywanie na przekonania p. Engelsa, każdy uczciwy Polak powinien mu podziękować za to, że on, cudzoziemiec i socjalista, stanął w obronie kraju opuszczonego i zdradzonego przez własnych synów. Prawda, że p. Engels ma głównie na widoku bezpieczeństwo Niemiec i całej zachodniej cywilizacji; ale inni niemieccy pisarze, broniący kraj swój od Moskali, nietylko nas uwolnić nie myślą, ale chcieliby nas zgładzić do szczętu, by wzmocnić swoją wschodnią granicę. Szczęściem, że takie *ausrotten* nie tak łatwe do wykonania.

Jedną rzecz mamy p. Engelsowi do wytknięcia. Pomimo zarzuconego powszechnie socjalistom kosmopolityzmu, p. Engels jest zawsze, bezwiednie może, gorącym niemieckim patrjotą, i mimowoli skrywa i uniewinnia nie jedne niemieckie występki, nie chce mianowicie się przyznać do tego, że właśnie z winy i przy pomocy Niemiec wyrosła olbrzymia moskiewska potęga, że carat się za to odpłacił gorliwem popieraniem i ratowaniem niemieckich państw. Nie mogąc zupełnie zniszczyć tych powszechnie znanych faktów, p. Engels wymyślił jakąś „międzynarodową“ (str. 13) konspirację lokajstwa, służącą absolutyzmowi i wymyśloną głównie przez Zofją von Anhalt-Zerbst, czyli Katarzynę II. — ona to wytworzyła carską potęgę. Prawda, że do carskich tych lokajów należeli, oprócz Niemców, czasem Francuzi i Włosi, jeszcze częściej nasi polscy panowie, nie wyłączając ostatniego naszego króla; ale cały kierunek tej „międzynarodowej“ rosyjskiej dyplomacji był czysto-niemieckim, służył głównie interesom Niemiec, nawet ze szkodą samej rosyjskiej narodowości; zbytecznie się nad tymi znanemi faktami rozwodzić, a przytoczymy tylko działania Aleksandra I., który odrzucił ofiarowaną mu przez Napoleona całą wschodnią Europę z Konstantynopolem, a wskrzesił rzeszę niemiecką. P. Engels powinien był napisać, że rządy niemieckie trzymały wprawdzie zawsze z Moskwą, że carat i Niemcy nawzajem sobie pomagały, ale że naród niemiecki wyrzeka się swoich władzców, i gotów zadość uczynić obrażonej sprawiedliwości zniszczeniem carskiej potęgi i oswobodzeniem pokrzywdzonych przez nią ludów. Że jednak takim jest logiczny wywód całej książki p. Engelsa, nie chcemy mu zbytecznie wyrzucać tego ubocznego przekręcenia dziejów, bardzo naturalnego dla niemieckiego patrjoty. Gorąco zalecamy „zagraniczną politykę caratu“ wszystkim naszym czytelnikom, tembardziej, że dla niejednego będzie ona bardzo pożyteczną, dając nam pośrednio krótki przegląd naszych dziejów porozbiorowych, tak przekręconych i zagmatwanych przez naszych pseudo-konserwatystów, i dla tego tak mało nam znanych. Dodamy, że niniejszy przekład, bardzo starannie opracowany, należy do wydawnictwa warszawskiego »Z dzisiejszej doby«, któreto zostało niejednokrotnie zdenuncjowane wrogom przez „*Czas*“ i inne organy *ejusdem farinae*, co jest najlepszym dowodem jego pożyteczności i patrjotyczności.